



Kryminał z myszką

47

To ja umarły

Kazimierz
Korkozowicz

Kazimierz Korkozowicz

TO JA, UMARŁY

Kryminał z myszką – Tom 47

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67562-32-4

Copyright © Tomasz Korkozowicz

Tekst: MON, Warszawa 1990, wydanie II

Rozdział 1

Właściwie trudno ustalić początek tej historii. Czy zaczęła się ona od rozmowy osaczonego człowieka z jego rozkazodawcą niewidocznym w ciemności owego późnego, zimowego wieczoru w pustym pokoju, czy też w chwili, kiedy Alina zauważyła z rana, że krzesło zajmowane swego czasu przez Komasę zostało w nocy odsunięte?

A może po prostu tego wrześnieowego popołudnia, kiedy w bieszczadzkim schronisku czytano prasę dostarczoną właśnie z miasteczka?

Ostatecznie nie ma to nawet większego znaczenia. Historię bowiem i bez tego ustalenia warto opowiedzieć.

Ponieważ padła już wzmianka o schronisku, dobrze będzie przyjrzeć się mu dokładniej.

Stało na szczycie wzgórza. Jego nowoczesną sylwetkę z białego piaskowca widać było z daleka. Skośny dach znacznie wystawał ponad duży taras, który pochyłą ścianą opadał w dół stoku. Ciosane kamienie, z których zbudowano schronisko, dobrze harmonizowały ze skalistym podłożem i kilku starymi jodłami, zapewne celowo pozostawionymi przez architekta przy budynku, by ciemnią zieleni kontrastowały z bielą jego ścian.

Ta od strony tarasu była prawie całkowicie przeszklona, otwierając siedzącym w jadalni wspaniały widok na stoki wzgórz, pokryte lasami. W miarę jak przenosiło się dalej wzrok, wzgórza stawały się coraz bardziej sine, bardziej zamglone, by wreszcie na horyzoncie zlać się zupełnie z tłem nieba.

Gdzieś w dole u stóp wzniesienia, na którym stało schronisko, jakby przemykając się między stokami, widać wstażkę nasypu wąskotorowej kolejki, a poza torem ukryta wśród lasów, otoczona pasem kolczastych drutów ogrodzenia, leżała wojskowa baza remontowa.

Kolejka łączyła miasto z tartakiem. Mała, zadyszana lokomotywka z fukaniem ciągnęła kilka razy dziennie parę wagoników przewożąc drewno lub pracowników tartaku i bazy.

Miasto nazywało się Jodłów i poza ekspozyturą WSW oraz komendą MO posiadało szpital, własną elektrownię i cały szereg urzędów i instytucji związanych z jego powiatową rangą. Poza wspomnianą już bazą remontową, jak i ona ukryte w lasach, rozciągało się lotnisko wojskowe, skąd grzmiący huk silników docierał często do ulicznych przechodniów z zainteresowaniem obserwujących krążące śmigłowce i samoloty łącznikowe.

Jedna z nielicznych stacji kolejki znajdowała się u podnóża schroniska. Była ona właściwie nieczynna, ule na widok uniesionej ręki maszynista hamował, by zabrać oczekującego pasażera. Sam budynek stacyjny, zabity na głucho, świecił o zachodzie czerwonym blaskiem szyb, brudnych od kurzu i zasnutych pajęczynami.

Łączność pomiędzy schroniskiem a miastem utrzymywała jednak głównie ciężarówka dowożąca prowiant, ale jeśli jej nie było, kolejka oszczędzała blisko dziesięciokilometrowego spaceru.

W czasie zimy w schronisku pełno było gości, zwabionych dobrymi terenami narciarskimi. Właściwie nigdy nie świeciło ono pustkami, gdyż i latem piękno okolicy przyciągało turystów. Poza tym parę pokoi na piętrze zajmowali miejscowi pracownicy.

Wracając zaś do wyrażonych uprzednio wątpliwości, z trzech wymienionych wariantów wybieramy ostatni – owo popołudnie w schronisku, kiedy to po obiedzie całe towarzystwo siedziało jeszcze przy stole, a Alina wniosła do jadalni dzienniki.

Ten wybór pozwala bowiem z jednej strony najlepiej wejść w tok akcji, a z drugiej od razu poznać wszystkie osoby biorące w niej udział.

A więc przede wszystkim kierowniczką schroniska, pani Ewa Bemel, szczupła i zgrabna brunetka o dużych, ciemnych oczach, których skupione spojrzenie mogło poruszyć niejedno męskie serce swoim niepokojącym urokiem. Wiek jej, jako kobiety dbającej o swój wygląd, trudno ustalić bez popełnienia znacznego nawet błędu. Mogła mieć równie dobrze lat trzydzieści pięć, jak i o dziesięć więcej, ale na jej pociągłej twarzy o lekko oliwkowej cerze

nie było ani jednej zmarszczki. Zajmowała główne miejsce przy stole, mając po prawej ręce panią Wirginię Klekot, której lata łatwiej już określić chociażby dlatego, że była emerytką i miała włosy zupełnie siwe. Ale i jej twarz, okrągła i rumiana, również nie miała zmarszczek, bo pani Wirginia była osobą korpulentną, a u takich osób zmarszczki ukazują się późno. Poza tym była kobietą dobroduszną i pełną jowialnego humoru, chociaż... chociaż były chwile, w których pan Jętko (o którym niżej) podejrzewał, że jowialność ta była tylko pozą. Pani Klekot przybyła do schroniska wczesną wiosną i, nie mając podobno bliższej rodziny, przedłużała swój pobyt z miesiąca na miesiąc, aż wreszcie poczuła się nieomal jego stałą mieszkanką. Dowodziło to, że pani Klekot musiała mieć jakieś dodatkowe dochody, gdyż sama emerytura nie starczyłaby jej na pokrycie kosztów utrzymania, które w tych warunkach nie mogły być niskie.

Równie długo jak ona siedział tu zajmujący miejsce po lewej stronie pani Ewy pan Zenobiusz Ledwoś, jegomość sporo po pięćdziesiątce, z zawodu (jak podawał) księgowy, który z powodu przewlekłej choroby płuc i leczenia w sanatorium zatrzymał się na okres rekonwalescencji w schronisku i również jakoś się zasiedział. Był to chudy, nieco przygarbiony starszy pan o dużym nosie, sterczącym między zapadłymi policzkami, i odstających uszach. Zapalczywy i bezpośredni, ale i nieco... zresztą, nie plotkujmy. Przecież będziemy mieli okazję poznać go bliżej.

Trzecim „zasiedziały” mieszkańcem był Daniel Wiński, przystojny brunet o lekko falujących włosach i ciepło brzmiącym tonie głosu. Okazywał pewność siebie w stosunku do kobiet i kordialną koleżeńskość w stosunku do mężczyzn. Zawsze bardzo dobrze ubrany, a nawet można by powiedzieć – z elegancją nieco przesadną, co, jak wiadomo, nie dowodzi zbyt wyrobionego smaku. Jego środki materialne zdawały się być dość spore, ale o ich pochodzeniu nie wypowiadał się szczegółowo. Podobno posiadał wytwórnię „czegoś tam”, którą w czasie jego nieobecności prowadził brat, a on sam (jak twierdził) szukał wśród przyrody zapomnienia po bolesnych przeżyciach rodzinnych.

Wszystko to było zupełnie prawdopodobne. Istniała jednak pewna okoliczność, która mogła wydać się nieco dziwna – kiedy do schroniska przyjeżdżali nowi ludzie, Wiński zniknął. Zjawiał się dopiero po pewnym czasie, równie jednak swobodny i kordialny. Fakt ten nie uszedł uwagi niektórych mieszkańców, ale nie był przez nich komentowany. Ostatecznie to osobista sprawa pana Wińskiego. Może po prostu bał się, że znajdzie go tu kłótniwa żona?

Pozostali mieszkańcy schroniska to pracownicy zatrudnieni na miejscowym terenie. A więc inżynier Jerzy Wierzyca, lat około czterdziestu, przystojny brunet o siwiejących skroniach, regularnych rysach twarzy i szarych oczach, którym można by zarzucić jedynie zbyt ostre spojrzenie. Ostrość ta jednak zniknęła w chwilach uśmiechu, uśmiechał się zaś dość często, co mogło dowodzić pogodnego usposobienia, gdyż od beztroski – bo i tę cechę należałoby brać pod uwagę – Wierzyca był daleki.

Drugim pracownikiem bazy zamieszkałym w schronisku był Piotr Barcza. Nieco młodszy od Wierzycy, raczej oschły. Poza tym nie umiał zbyt maskować ani myśli, ani pragnień, co z kolei dowodziłoby albo wrodzonej uczciwości, albo ograniczonego sposobu myślenia. Może zresztą posiadał obie te cechy. W każdym razie już najbliższa przyszłość wykazała, że ta druga na pewno wchodziła w grę.

I wreszcie ostatnim stałym mieszkańcem był pracownik pobliskiej stacji meteorologicznej, pan Joachim Jętko, wysoki, szczupły mężczyzna około trzydziestki, o którym trudno właściwie powiedzieć coś bliższego, gdyż skrywał się za maską dobroduszną (choć nie zawsze) kpiny. Wysokie czoło nadawało mu wygląd intelektualisty. Nie jest jednak wykluczone, że zamiłowanie do drwiącego tonu maskowało wrodzoną nieśmiałość. Ze względu jednak na zachowanie koniecznej ostrożności w ocenie ludzi należałoby jednak wystrzegać się sympatii, jaką zwykle wzbudza ta cecha charakteru.

Teraz z kolei należy wymienić osoby, które przybyły w ostatnich dniach, co zwalnia od określania ich charakterów. Poprzestańmy więc tylko na opisie ich wyglądu i pewnych cech uchwytnych na pierwszy rzut oka.

Były to dwie młode kobiety. Helena Nurska, zgrabna blondynka o pociągłej twarzy i dużych piwnych oczach, oraz Beata Rutt, nosząca się z męską, o rudych (zapewne farbowanych), krótko przystrzyżonych włosach, bystrym spojrzeniu pięknych oczu i swobodnym, nieco nonszalanckim sposobie bycia.

Natomiast obsługa pensjonatu składała się z trzech osób: Aliny – pokojówki, Reginy – kucharki, i Dominika – palacza, montera, jak i specjaliści od wszelkich napraw.

Obiad skończył się, ale całe towarzystwo siedziało jeszcze przy stole. Pani Wirginia słuchała wywodów pana Zenobiusza Ledwośa, popartych zdecydowanymi gestami rąk. Panna Nurska w milczeniu patrzyła na szklankę z resztą herbaty, stojącą przed nią, a pan Barcza, który od czasu przyjazdu panny Rutt lokował się stale obok niej, prowadził z dziewczyną przyciszoną rozmowę.

Wówczas to weszła Alina z gazetami w ręku. Położyła je na stoliku stojącym przed kominkiem i zabrała się do sprzątania stołu.

Pan Jętką na widok dzienników wstał i z krótkim „dziękuję” sięgnął po gazetę, po czym ulokował się z nią na jednym z foteli stojących przy kominku.

Po chwili zza płachty papieru rozległ się jego głos:

– No proszę: był Komasa, nie ma Komasy!

– O co chodzi? – Pani Bemel odwróciła głowę w stronę Jętki.

Zamiast odpowiedzieć Jętką przeczytał: „Wyrok Sądu Wojskowego w sprawie Cezarego Komasy, skazanego za działalność szpiegowską i zabójstwo strażnika na karę śmierci, w dniu dzisiejszym został wykonany”.

Alina, która stała przy stole zbierając na tacę nakrycia, znieruchomiała raptownie, a potem obróciła pobladłą twarz w stronę Jętki. Filiżanka, którą właśnie miała w ręku, zaczęła z wolna zsuwać się ze spodka i upadła na podłogę, rozpryskując się na kawałki.

– Alina?! – Pani Ewa spojrzała ze zdziwieniem na pokojówkę. – Co się z tobą dzieje?!

– Proszę pani... Więc to był na pewno on...

– Kto?!

– Pan Komasa... On tu był... Siedział przy tym stole!

– Przecież to wiemy!

– Ale on był tu także dzisiejszej nocy...

Całe towarzystwo raptownie zamilkło i wszystkie oczy zwróciły się na dziewczynę.

– Co ona plecie?! – prychnął Wierzyca.

– Co ty wygadujesz?! – oburzyła się pani Ewa, ale widać było, jak jej ciemna cera z lekka przybladła.

– Nie mówiłam tego pani kierownicze, ale wczoraj, kiedy weszłam rankiem do jadalni, krzesło na miejscu zajmowanym przez pana Komasę było odsunięte, a nakrycie nosiło ślady użycia – zaczęła swoją relację Alina. – Tam gdzie teraz siedzi pan Barcza. – Wskazała ruchem głowy. – Myślałam... Myślałam, że to on zszedł wcześniej, ale przecież nikomu śniadania jeszcze nie podawałam... Więc zrobiło mi się głupio... Przysunęłam krzesło na miejsce, a nakrycie zmieniłam. A dziś rano zdarzyło się to samo...

– Brednie! – powtórzył swoją opinię Wierzyca, tym razem już ze zniecierpliwieniem.

– Panie Piotrze, niech pan uważa! – rozległ się kpiący głos Jętki. – To duże ryzyko siadać na tym miejscu!

– Pozbieraj skorupy i nie zawracaj nam głowy takimi bzdurami! – rzuciła z irytacją pani Ewa, zdradzając jednak, że relacja Aliny zrobiła na niej wrażenie.

– Nie nazywałbym tego brednią – odezwał się pan Ledwoś. – Tego rodzaju przypadki są znane, aczkolwiek lekkomyślnie lekceważone. Jestem zdania...

– Że odwiedził nas nieboszczyk? – przerwał mu szorstko Wierzyca. – Ubolewam, że muszę wysłuchiwać takich głupstw!

– Może pan sobie ubolewać! – rzucił już z podnieceniem Ledwoś. – Ale to w niczym nie zmienia tego, co widziała Alina! Jak pan to wytłumaczy?

– Albo coś jej się przywidziało, albo... Słuchaj, moja droga – zwrócił się do pokojówki, która zebrała już skorupy i kierowała się ku drzwiom. – Czy jesteś pewna, że nakrycie to istotnie było używane?

– Ależ oczywiście, proszę pana! Nóż i widelec leżały na talerzyku...

– A więc skoro tak, może ktoś z obecnych jadł coś z własnych zapasów o wcześniejszej porze? – Wierzyca powiódł wzrokiem po obecnych. Odpowiedziało mu jednak milczenie.

– No proszę! – zatryumfował pan Zenobiusz. – Któż to zatem był?!

Wierzyca wzruszył ramionami.

– Może ktoś chciał nam zrobić głupi kawał?

– Kawał? A skąd wiedział, że Komasa został stracony?

– Jest jeszcze i radio, panie Ledwoś...

– Kto to był ten Komasa? – wtrąciła się Beata. – Z przebiegu rozmowy domyślam się, że tu mieszkał, ale nazwisko nic mi nie mówi.

Ponieważ chodziło o pannę Rutt, Barcza nie dał się ubiec nikomu. Tak było zresztą od chwili jej przyjazdu. Pospieszył z wyjaśnieniem.

– Komasa, tak jak pan Wierzyca i ja, był pracownikiem wojskowej bazy remontowej, która znajduje się niedaleko schroniska, i tu mieszkał. Rozpoczął pracę w zeszłym roku, ale okazało się, że dostał się do nas w specjalnym celu, a mianowicie dla dokonania kradzieży pewnych części wymiennych do noktowizorów nowego typu, zapewne na polecenie obcego wywiadu. Został na tym przyłapany, a w czasie ucieczki zastrzelił strażnika, który stanął mu na drodze. Ostatecznie ucieczka nie udała mu się i został ujęty. Uciekając wyrzucił pistolet, ale mimo śniegu znaleziono i broń. Jak stwierdzono, pocisk, od którego zginął strażnik, pochodził z tego pistoletu. Były to niezbite dowody winy, został więc skazany na karę śmierci i, jak pani słyszała, wyrok wykonano.

– A więc był szpiegiem?

– Jak się to mówi, agentem obcego wywiadu. Zresztą przyznał się do tego, tak przynajmniej słyszałem. Natomiast... – Barcza przerwał i zapatrzył się przed siebie.

– Co natomiast, panie Piotrze? – przynagliła Beata.

– Inne aspekty tej sprawy nie wydają mi się takie proste – mruknął Barcza z wyraźną niechęcią, po czym dorzucił już z uśmiechem: – Teraz orientuje się pani, o co chodzi. Nasza Alinka, jak się zdaje, jest pewna, że to ten nieszczęśnik odwiedza ostatnie miejsce swego ziemskiego pobytu. Może i nie bez powodu.

– Co pan ma na myśli? – z zaciekawieniem podchwyciła dziewczyna.

– Wolę o tym nie mówić.

– A jakie jest pana zdanie o tej historii opowiedzianej przez Alinę? Przecież trudno uwierzyć w coś podobnego! I to przy dzisiejszym, racjonalnym sposobie myślenia!

Barcza wzruszył ramionami.

– Oczywiście, że trudno, zwłaszcza że przestaliśmy ufać rozmaitym koncepcjom dotyczącym zaświatów.

– A skąd pewność, że mamy słusność? – wtrącił się do rozmowy podniecony tematem pan Zenobiusz. – A może jest jakaś „tamta strona”? Bo inaczej czyż życie miałoby sens?

– A czy wierzy pan również w życie pozagrobowe na przykład zajęcy? – odezwał się ze swego fotela Jętko.

– Nie mówię o zajęcach, a o ludziach!

– Jaki zatem sens ma życie zajęcy?

Rozległ się ogólny śmiech, który rozładował napięcie. Towarzystwo ruszyło od stołu.

Zanim nastąpi relacja o dalszych zdarzeniach, należy zorientować się, gdzie one miały miejsce. Otóż z dużego holu, do którego wchodziło się z tarasu, prowadziło troje drzwi. Na prawo do jadalni, na lewo do pokoju biurowego kierowniczk, który łączył się z jej sypialnią, a ta z kolei miała wyjście na korytarz służbowy. Drzwi z holu na wprost prowadziły do tegoż korytarza, przy którym znajdowała się łazienka, magazyn podręczny, następnie pokoje personelu, a z drugiego krańca kuchnia i zejście do piwnic.

Z holu, gdzie na kawałku sęka obok lustra i wieszaka siedziała wypchana sowa, biegły drewniane schody o rzeźbionej poręczy. Prowadziły one do podobnego holu na piętro, urządzonego jako pokój rekreacyjny, bo z radiem i telewizorem. Stamtąd otwarte przejście prowadziło na korytarz, który ciągnąc się wzdłuż całego domu przedzielał położone po obu jego stronach pokoje gościnne. Na krańcach znajdowały się łazienki, a w samej głębi, już przy szczytowej ścianie, wąskie schody prowadziły do kilku pokoi mansardowych. Te właśnie, jako najtańsze, wynajmowali Barcza i Jętka, natomiast Wierzyca zajmował pokój na piętrze, położony na wprost holu.

Dużą i dzięki oszkleniu bardzo widną jadalnię oddzielał od położonego za nią saloniku tylko kilkumetrowy kawałek ściany, dzięki czemu z tych dwu pomieszczeń powstawała niejako całość.

Drzwi w rogu jadalni wychodziły na korytarz służbowy. Tędy Alina podawała do stołu.

Ponieważ nie było nic ciekawego w telewizji, nikt po kolacji nie opuścił jadalni. Nie udało się jednak stworzyć partii brydża, gdyż Barcza nie odstępował panny Beaty, skrywszy się z nią w saloniku, a Jętka prowadził cichą rozmowę z panną Nurską pod stojącą w rogu jadalni lampą. Rzucała ona spod szerokiego abażura ciepły krąg blasku.

Drzwi wychodzące na taras były otwarte. Szło stamtąd ciepłe, wrześniowe powietrze i widać było bezmiar rozgwieżdżonego nieba.

Na kominku nie palił się ogień, ale panie Klekot i Bemel oraz pan Ledwoś zajęli stojące przed nim fotele, a i Wierzyca podsunął sobie do nich krzesło.

Pan Ledwoś przetarł dłonią lśniąca skórę głowy i zagaił rozmowę, zwracając się do kierowniczk schroniska.

– Muszę wyznać, że wciąż mnie nurtuje ta relacja Aliny – głos pana Zenobiusza zdradzał przejęcie tematem. – Jestem przekonany, że mamy do czynienia z tajemnicą przerastającą naszą zdolność rozumienia. I na nic tu sceptycyzm niektórych osób – tu mówiący zerknął na Wierzycę – bo zastanówmy się: kto z nas i po co miałby robić tego rodzaju dowcipy, zresztą w danych okolicznościach wręcz nie na miejscu!

– Robi się różne kawały – odpowiedziała pani Klekot. – Żarty często trzymają się młodych...

– O to właśnie chodzi! – z ożywieniem pochwycił pan Zenobiusz. – Szanowna pani poruszyła sprawę, którą rozważałem po południu. Otóż młodzieży wśród nas nie ma! Bo ani panny Nurskiej czy pani Rutt, ani pana Jętki do młodzieży nie można zaliczyć! A zresztą nie wyobrażam sobie, aby oni lub ktoś z reszty naszego grona mógł szukać rozrywek! Nie, drogie panie, im bardziej zastanawiam się nad tą historią, tym bardziej jestem przekonany, że stanęliśmy przed czymś zupełnie niepojętym dla naszych ludzkich umysłów! A jakie jest pani zdanie? – Pan Zenobiusz obrócił długi nos w stronę pani Bemel i zamilkł wyczekująco.

Ta zerknęła przez ramię, obrzucając Wierzycę krótkim spojrzeniem, po czym powiedziała z wahaniem:

– Trudno zająć stanowisko w sytuacji, której nie sposób zrozumieć. Tym bardziej że i mnie nie trafia do przekonania przypuszczenie, że ktoś stroi sobie z nas żarty. Ten człowiek istotnie nie żyje, i to od niedawna, a więc, jak pan już to podkreślił, byłby to żart bardzo niesmaczny. Nie wierzę, by ktoś z nas był zdolny do takiego postępu. Swego czasu interesowałam się spirytyzmem, byłam świadkiem ciekawych zjawisk, które zachodziły przy

zachowaniu ścisłej kontroli, ale też zetknęłam się z szalbierstwem, co ostudziło moje zainteresowanie tymi zjawiskami. Nie wiem, jakie zająć stanowisko w tej sprawie. Widziałam bowiem fakty, których autentyczność była bezsporna, a jednocześnie i głupie oszustwa, dokonywane dla zarobku.

– Z tego mogę wnosić, że i w tym wypadku dopuszcza pani możliwość autentyzmu zjawiska?

Pani Bemel nieznacznie wzruszyła ramionami.

– Przede wszystkim mam nadzieję, że zdarzenie wyjaśni się w sposób naturalny.

– A jeśliby miało się powtórzyć?

– Wówczas zobaczymy. Na razie jestem skłonna, tak jak na przykład pan Jętka, nie zajmować w tej sprawie, w gruncie rzeczy przecież błażej, określonego stanowiska.

Jętka na dźwięk swego nazwiska spojrzął w stronę kominka, zdradzając tym, że rozmawiając z panną Nurską, słyszy jednak i tę wymianę zdań. Wierzyca natomiast siedział nie zabierając głosu, ale ironiczny uśmiech nie schodził z jego twarzy.

– Ciekawe, czy rzeczywiście zdarzy się jeszcze coś w tym rodzaju? – odezwała się pani Klekot. – Wówczas stanę się chyba stronnicką poglądów pana Zenobiusza. – Pani Wirginia uśmiechnęła się. – Muszę przyznać, że ciarki mnie przeszły, kiedy usłyszałam opowiadanie Aliny!

– Tak, pani ma rację! – zgodził się Ledwoś. – Gdyby historia miała się powtórzyć, wówczas o żartach nie mogłoby być mowy!

– Albo dopiero wtedy – mruknął Wierzyca. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale w otwartych na taras drzwiach ukazał się Wiński. Zatrzymał się chwilę w smudze światła padającego z saloniku na lśniący parkiet jadalni, a potem zbliżył się do kominka, przysunął sobie krzesło i usiadł przewieszając ramię przez jego oparcie.

– Czy nie przeszkadzam? – zwrócił się z galanterią ku kobietom. – Wracam właśnie z krótkiego spaceru, bo wieczór jest zupełnie letni: piękny i ciepły! I co za powietrze!

– A mnie zrobiło się właśnie zimno – odpowiedziała mu z lekkim uśmiechem pani Ewa. – Jerzy, proszę, przynieś mi szal...

Wierzyca wstał i bez słowa skierował się do holu. Wiński rzucił okiem w stronę saloniku i odezwał się:

– Barcza pograżył się z uszami! Nie odstępuję Beatki na krok! Ale nie dziwię się, bo dziewczyna na medal! Z której strony by człowiek nie spojrzął, z każdej jest co oglądać!

– Panie Wiński! – obruszyła się pani Klekot. – Takie uwagi być może są dopuszczalne, ale w męskim towarzystwie!

– E, albo to pani szanowna nie wie, jak to jest?! – Wiński nie przejął się karcącym tonem starszej pani. – Tu sterczy, tam sterczy, a głupi chłop traci głowę!

Pani Klekot chwyciła go za ucho, rzucając z udanym gniewem:

– Zamilczże, ty bezwstydniku!

Może Wiński nie spotkałby się z taką naganą, gdyby pani Klekot w tej chwili mogła słyszeć Barczę. Pochylony ku dziewczynie, która siedziała naprzeciw niego, mówił wzburzony:

– Nigdy nie umiałem, a i teraz nie umiem mówić... Dlatego z trudem przychodzą mi te słowa. Jesteś dziewczyną, która... dla której... I to od razu, jak cię zobaczyłem... Od razu straciłem głowę...

Mówiąc, patrzył jej w oczy, potem przeniósł wzrok na miejsce, gdzie śmiały dekolt ukazywał cię rozdzielający piersi, i gwałtownie odchylił się na oparcie fotela.

Beata słuchała go bez słowa, nie odwracając spojrzenia od jego twarzy. Kiedy zamilkł, opuściła głowę i wolnym ruchem dłoni wygładziła nieistniejącą zmarszczkę na spódnicy.

– Ale to chyba nie miłość, co, Piotrze? – spytała z lekką drwiną.

– Skąd mogę wiedzieć! – wybuchnął. – Przecież znam cię zaledwie od trzech dni! Ale za to wiem, że muszę cię mieć!

– Przynajmniej szczerze stawiasz sprawę – uśmiechnęła się kpiąco. – Ale jako kobieta nie czuję się obrażona. Proponuję jednak, abyśmy zmienili temat, chociażby dlatego, że mówimy nieco za głośno.

– Zazdroszczę ci zimnej krwi – burknął, urażony jej rzeczowym tonem.

– Nie dąsaj się. Na pocieszenie powiem ci, że podobasz mi się również i wcale się nie zmuszam, by przebywać w twoim towarzystwie. Uważam jednak, że zbyt dobrze słyszymy głosy reszty towarzystwa, aby ono nie słyszało naszych.

– Ależ...

– Sza! – położyła mu palec na usta. – Mówmy o czymś innym, przynajmniej teraz – dodała z uśmiechem.

– A zatem dobrze – zgodził się, nadal jednak nieco nadąsany. – O czym sobie życzysz, o uprawie kapusty czy hodowli jedwabników?

– Nie, opowiedz mi raczej historię tego, jakże mu tam, Komasy. Przecież to odbyło się właśnie tutaj, on mieszkał w tym pensjonacie?

Barcza uśmiechnął się z przekorą.

– Jest to temat, którego również nie chcę poruszać w obawie, że ktoś usłyszy. Najlepiej więc umówmy się na jutrzejsze popołudnie u mnie w pokoju. Tam będę mógł ci wszystko opowiedzieć.

– Zarzucasz przynętę biednej, złotej rybce, ty podstępny szczupaku! Chcesz ją złapać w sieć jej własnej ciekawości?

– Ależ skąd! – rzucił z podkreśloną przesadą. – Jestem tylko równie ostrożny jak ona!

– Gdyby była istotnie ostrożna, odrzuciłaby propozycję...

– Ale?

– Ale ostrożna nie jest. Poza tym liczy, że zachowasz się przyzwoicie.

– A więc, najdroższa, jutro po południu, dobrze?

– Niczego nie obiecuję. A teraz chodźmy, należy przyłączyć się do towarzystwa, bo na pewno już nas wzięto na języki.

W tym czasie Jętką prowadził rozmowę z panną Nurską. Rozmawiali cicho, siedząc po obu stronach lampy, której światło zabarwione kolorem abażuru kładło na ich twarze ciepłe blaski.

– ...po dwunastu godzinach dyżuru mam dwadzieścia cztery wolne. Taki układ godzin pracy bardzo mi odpowiada, bo to stwarza możliwość różnego wykorzystania wolnego czasu, w zależności od upodobania lub pogody.

– Pracując na stacji meteorologicznej ma pan chyba dość problemów z pogodą i bez tego...

– Niestety, wpływu na nią nie mam, więc nie zawsze mogę korzystać z nart, za czym przepadam. Zimą są tu wspaniałe szlaki zjazdowe.

– Zazdroszczę panu tej pracy. Jest pan ciągle tak blisko natury.

– Grzebię się w niej, proszę pani... A zatem to pociąg do natury skierował panią właśnie tutaj?

Spojrzała na niego, potem pochyliła głowę.

– Szukałam odosobnienia. Opowiadano mi o tym schronisku i zapewniano, że teraz będzie tu pusto.

– I chyba tak jest. Bo tych kilka osób...

Dostrzegł, jak na moment zmarszczyła brwi, ale nie odpowiedziała.

– Zaczynam czuć się niepewnie. Może narzucam się ze swoim towarzystwem, panno Heleno?

Znów rzuciła na niego krótkie, tym razem nieco rozbawione spojrzenie.

– Moi przyjaciele skracają to imię na Lena. Osobiście wolę ten skrót.
– Uważam zatem, że i ja mogę korzystać z tego przywileju. Ale czy to znaczy również, że czasem będę mógł dotrzymywać pani towarzystwa?
Zamiast odpowiedzi uśmiechnęła się lekko. Był to pierwszy uśmiech, jaki ujrzał na jej twarzy.

Otworzył drzwi z klucza Beata zapaliła światło i przede wszystkim poszukała wzrokiem swojej torebki.

Leżała tak jak ją zostawiła, na stoliku przy tapczanie.

Ale od razu spostrzegła, że ktoś ją otworzył i pozostawił nie zamkniętą. Szybko podeszła do stolika i sprawdziła zawartość. Wśród niezliczonych kobiecych drobiazgów znalazła złożoną kartkę papieru. Rozwinęła ją i przeczytała, potem chwilę trwała w głębokiej zadumie. Wreszcie sięgnęła powtórnie do torebki, wyjęła zapalniczkę i spaliła kartkę nad popielniczką.

I dopiero kiedy ostatni języczek płomieni zgasł, zabrała się do wieczornej toalety.

Mężczyzna oczekujący u siebie pierwszej wizyty interesującej go kobiety zachowuje się na ogół stereotypowo. A więc skrapia się wodą kolońską, lustruje pokój krytycznym spojrzeniem, sprawdza w podręcznym barku, czy kieliszki są czyste i alkohol w dostatecznej ilości, a wreszcie z uodporniającym: „przyjdzie to dobrze, a nie, to też dobrze”, zabiera się do czytania książki lub gazety, łudząc się, że w ten sposób zabije czas.

Wszystko to Barcza miał już za sobą. Kiedy uświadomił sobie, że niewiele rozumie z tego, co czyta, odłożył ilustrowany tygodnik i rozpoczął niecierpliwą wędrówkę po pokoju, co i raz spoglądając na zegarek. Jednak w takich chwilach czas jest wyjątkowo przekorny.

Ostatecznie gdzieś około szóstej usłyszał lekkie pukanie do drzwi, a kiedy je szybko otworzył, ujrzał na progu Beatę.

– A więc jestem – Oświadczyła z uśmiechem. – Ciekawość okazała się silniejsza niż obawa!

Rozejrzała się po pokoju, po czym zajęła jeden z foteli stojących przy tapczanie.

Barcza napełnił kieliszki i przysiadł koło niej na brzegu tapczana.

– Wyjaśnienie niezbyt dla mnie pocieszające... – nawiązał do słów jej powitania.

– Przecież powiedziałam ci to jeszcze wczoraj! Ale jako mężczyzna oczywiście nie brałeś tego pod uwagę, łudząc się, że to babski wybieg.

– A ty pozbawiasz mnie obecnie resztek tego złudzenia.

– Chcesz, żebym starała się pocieszyć cię zaprzeczając, co równałoby się... No, ale mniejsza o to! Wróćmy do tematu, jeśli postanowiłeś dotrzymać słowa. Jak to było z tym Komasa?

– No dobrze. Z nas dwojga niechże chociaż ja będę słowny. A więc Komasa rozpoczął u nas pracę przeszło rok temu, o czym zdaje się już ci mówiłem. Jak dostał się do naszej bazy i kto go polecał, tego nie wiem. Był to cichy, opanowany i bardzo skryty człowiek, ale, trzeba przyznać, dobry pracownik. Znał się na elektryce naprawdę świetnie. Z racji swego opanowania i pracowitości był lubiany przez kolegów i ceniony przez kierownictwo. I tu raptem doszło do czegoś, co było niby grom z jasnego nieba. Którejś nocy został przyłapany na wydzielonym terenie bazy, gdzie prowadzimy naprawy podzespołów elektrycznych i elektronicznych. Komasa sforsował płot i przez małe okno wszedł do magazynu części zamiennych. Znał dobrze rozmieszczenie wszystkich szaf i półek, wiedział, co znajduje się w plombowanych skrzyniach. Od razu znalazł to, czego szukał, komplet kryształków do noktowizorów. Nasi fachowcy z Centralnego Instytutu Fizyki pracowali nad nimi kilka lat, dla wywiadu była to więc cenna zdobycz. Opuszczając magazyn przypadkowo przewrócił pusty kanister stojący na betonowej płycie. Strażnik usłyszał hałas, zobaczył uciekającego.

Niewiele brakowało, a użyłby broni, ale Komasa uprzedził go. Strzelił z pistoletu i, niestety, trafił. W bazie natychmiast ogłoszono alarm. Wykorzystując nerwową bieżnię, bo w pierwszej chwili nikt nie wiedział, co się stało i kogo należy szukać, Komasa zdołał opuścić strzeżony teren. Złapano go nad ranem w sąsiednim lesie dzięki pozostawionym na śniegu śladom. Był już bez broni, pistolet odszukał jednak pies z patrolu pościgowego. Jak się potem okazało, na rękojęści były ślady palców Komasy. Ustalono też, że strażnik zginął od pocisku wystrzelonego z tego właśnie pistoletu. Dla sądu były to dowody niepodważalne, stąd wyrok mógł być tylko jeden: kara śmierci.

– Skąd tak dobrze znasz te szczegóły?

– Częściowo ze śledztwa, a poza tym sprawa wywołała ogromne poruszenie wśród całego personelu bazy. Wierzyca nie mógł sobie znaleźć miejsca po śmierci strażnika...

– Nie rozumiem, dlaczego akurat on?

– Tej nocy miał dyżur w bazie. Po ogłoszeniu alarmu wzywał lekarza, żeby jak najszybciej odwieźć strażnika do szpitala. Niestety, było już za późno. Strzał w płuco w okolicy serca spowodował wewnętrzny wylew krwi.

– A te kryształki?

– No cóż, nie wszystkie udało się odzyskać. W oryginalnym fabrycznym opakowaniu, które przy nim znaleziono, brakowało sześciu kryształków. A więc przynajmniej częściowo kradzież mu się udała.

– Wspomniałeś mi o jakichś swoich wątpliwościach. Co to było?

Barcza patrzył chwilę przed siebie, zanim odezwał się:

– Znajdowałem się akurat na wartowni, kiedy żołnierze WSW przyprowadzili Komasę. Był ubabrany w błocie, zadyszany, a w oczach miał przerażenie. Widać uciekając zadrapał się o jakąś gałąź, bo po policzku ciekła mu strużka krwi. Kiedy mnie mijał, słyszałem, jak z uporem powtarzał eskortującym go żołnierzom: „Ależ ja nie miałem pistoletu... ja nie miałem pistoletu... ja nie miałem pistoletu! Ukradłem, ale nie zabiłem, przysięgam, że nie zabiłem!” Był tak przejęty śmiercią strażnika, o której musieli mu zapewne powiedzieć, że wbrew bezspornym dowodom uwierzyłem, iż mówił prawdę... Uwierzyłem i wierzę do dziś. I dlatego wstrząsnęła mną wiadomość o egzekucji, bo wyobrażałem sobie, że zagadka ta w jakiś sposób zostanie wyjaśniona. Teraz jestem przekonany, że ten nieszczęśnik został stracony za przestępstwo, którego nie popełnił.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI